

# Wieża Babel

TEATR WSPÓŁCZESNY. Po premierze „Zmierzchu”

**N**ie warto budzić apetytu przed premierą. Miał być dramatyczny thriller, Szekspirowski traktat o losie człowieka, a wyszedł gorący kubek według Babela.

Każdy z nas musiałby zawartość kolejnych torebek-scen z życia ojca, odeskiego Żyda-satrapy mozolnie rozścielaczkać w domu, by ustalić jakiś smak. Mogłaby to być zaleta, bo takie nasączanie umysłu jest sensem dzieła sztuki, a nie jest, bo „Zmierzch” jest stylowo niespójny, emocjonalnie nieprawdopodobny i po prostu nudny.

Krystyna Meissner okazała się zrzędną kopistką. Tyle tu malarskich cytatów, jakbyśmy oglądali Rosję Daumiera, Menzla czy Riepina. Tylko aktorom brakło odwagi, by pokazać, że po Malewiczu czy Majakowskim takiej Rosji na pewno już nie ma. Bohaterowie przedstawienia – po kolei lotrzykowscy jak Benia Krzyk (Maciej Tomaszewski), groteskowi jak krawiec Bojarski (Krzysztof Kuliński), zrzędlowi jak Arie Lejb (Bogusław Kierc), oszołomieni jak Chołodenko (Ewa Szykulska) – są figurkami-cytatami z żydowskiej szopki, a nie protagonistami dramatu. Każdy z nich gra postać z innej bajki. Krążą wokół siebie po scenie jak ruskie sputniki, tak że nawet bijatyki i pijatyki są tu nieznośnie markowane, nie zagrane.

To na pewno nie jest epicka, tragiczna opowieść króla Lira o walce dobra ze złem czy o buncie pokoleń wśród odeskich Żydów, lecz stylistyczna wieża Babel.

Można oglądać ten spektakl jak wykład historii światłocienia. Tyle tu mroków i światła wyłaniających zbiorowość odeskich Żydów z 1913 roku, jak w dobrej szkole portretowej czy na litografiach Daumiera właśnie. Widzimy na scenie piękne, kolorowane sepią pocztówki z szynków, synagog, weselnych izb czy sypialni małżeńskich. Nawet syreny portowe słychać w oddali, a chomąta koni Mendla Krzyka i monety ciskane na podłogę brzęczą prawie jak u Stanisławskiego.

A gdy podczas striptizu warkocze i pończochy zawirowały w powietrzu jak nuty preludium Skriabina, można było zatopić wzrok w tej czasoprzestrzeni jak w cudownym akwarium. Ale równie dobrze można „Zmierzch” uznać za jednoczesny, lecz niespójny stylowo

gminny kabaret, reportaż interwencyjny czy notatnik socjologa.

Meissner rewelacyjnie wykorzystała plastyczność i głębię sceny. Już mamy dać się urzec, gdy przypomina się Hłasko wyklinający Żeromskiego za „śnicę”, co „zapuszcza w duszę sępie ślepią”. Bo „śniczość” wypełnia ten „Zmierzch”, czyli kompletne nieprawdopodobieństwo życia wewnętrznego: egzaltowana nieprawda języka, myśli i emocji.

Zabrakło we Współczesnym najprostszego dla teatru spoiwa – dramaturgii. Żadna ze scen nie daje się nanizać na jakąś nić. Nie ma tu losu, nie ma dziejów czy choćby anegdoty. Jest kronika kryminalna, w której dwaj bracia Krzykowie, zły i mniej zły, pobili ojca – właściciela firmy przewozowej – i zgarnęli majątek, a obiwszy pysk despotie, pozwalają mu dożywać starości w domu. Co prawda nie jest to dom „pogodnej jesieni”. Mendel był łobuz, pijaczyna i łajdus. Latami płodził nieślubne dzieci, okradał żonę z miłości, a synów z godności. Tora powiada jednak o czasie siewu i czasie żniw, daje także przypowieść o wojowaniu mieczem. Wszystko spełniło się Mendlowi co do joty.

Na szczęście nie ma w tym spektaklu tandety. Jest przerost mniemanologii nad prawdą. Więc ziewałem, bo każdy ziewa, gdy nie krew płynie w żyłach, lecz – jak mówi bohater Babela – zupa! Kto lubi malarstwo lub zupę, niech ogląda.

LESZEK PUŁKA

*Izaak Babel „Zmierzch”, reż. K. Meissner, scen. A. Witkowski, muz. Z. Karnecki. Premiera 17 kwietnia we wrocławskim Teatrze Współczesnym*